

W

I

N

A

K

T

O

P

S

**GUS
TAW
HER
LING
GRU
DZIŃSKI**

**TEATR
IM. JULIUSZA
OSTERWY**

TEATR NN

CENTRUM KULTURY LUBLIN



fot. Andrzej Szafran

Motto

Mój ideał dziennika, niedościgniony, to prawda, nie ma jednak powodu by go nie wyznaczyć. Przesuwa się w nim raz szybciej raz wolniej, raz na scenie raz w tle, „historia spuszczonej z łańcucha”, jak nasze czasy znakomicie określili Jerzy Stempowski. A w lewym dolnym rogu, wzorem niektórych malowideł renesansowych, miniatury i ledwie naszkicowany autoportret obserwatora i kronikarza.

3.II. 1979

Gustaw Herling-Grudziński urodził się 20 maja 1919 r. w Kielcach, debiutował w „Kuźni Młodych” w 1935 r. Po ukończeniu gimnazjum, w latach 1937-1939 studiował polonistykę na Uniwersytecie im. Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Związany był wówczas z Ludwikiem Fryde i prowadzoną przez niego szkołą teoretyczno-literacką oraz z pismem *Orka na Ugorze*, w którym redagował dział literacki.

Po kampanii wrześniowej był współzałożycielem i szefem sztabu konspiracyjnej Polski Ludowej Akcji Niepodległościowej (PLAN). Aresztowany w marcu 1940 r. przez NKWD pod Grodnem, został skazany na pięć lat obozu pracy pod Archangielskiem. Po układzie Sikorski-Majski zwolniony w styczniu 1942 r., wstąpił do powstającej w Kazachstanie Armii Polskiej, a po przejściu przez Bliski Wschód walczył w kampanii włoskiej. Za udział w bitwie pod Monte Cassino odznaczony krzyżem *Virtuti Militari*. W latach 1945-1946 kierował działem literackim tygodnika 2 Korpusu *Orzeł Biały*.

Debiutował w Rzymie tomem szkiców literackich *Żywi i umarli* z przedmową Józefa Czapskiego (1945). Współpracował krótko z rzymskim Instytutem Literackim, w którym wydał m.in. antologię *W oczach pisarzy* (1947); razem z Jerzym Giedroyciem założył kwartalnik *Kultura*. Poślubił malarzkę Krystynę Domańską (z domu Stojanowską), z którą przeniósł się do Londynu. Tam kontynuował wcześniej nawiązaną współpracę z tygognikiem *Wiadomości*. W Londynie ukazały się wspomnienia obozowe Herlinga *Inny Świat*, najpierw w tłumaczeniu na angielski Andrzeja Ciołkosza (1951; wznowienia: 1952, 1986, 1987), później w innych językach i w polskim oryginale (1953, wyd. paryskie 1965).

Po śmierci żony w 1952 r. przebywał w Monachium i pracował w Rozgłośni Polskiej RWE. Od 1955 mieszka w Neapolu, nawiązał przerwana współpracę z paryską *Kulturą* (do dzisiaj jest jej najbliższym współpracownikiem) i pismami włoskimi (m.in. *Tempo Presente*). Poślubił Lidie Croce, córkę i współpracownicę Benedetto Crocego.

W Instytucie Literackim wydał opowiadania *Skrzydła ołtarza* (1960), *Drugie Przyjście oraz inne opowiadania i szkice* (1963), tom esejów o literaturze rosyjskiej i sowieckiej *Upiory rewolucji* (1969), cztery tomy *Dziennika pisanego nocą* (1973, 1980, 1984, 1989) oraz wielokrotne wznowienia *Innego Świata*, w Londynie zaś dziennik z 1952 r. *Podróż do Burmy* (1983). W ostatnich latach *Inny Świat* ukazał się w tłumaczeniu na język francuski (1985) i rosyjski (Londyn 1989, Moskwa 1991). Wybór z *Dziennika pisanego nocą* wydano w przekładzie francuskim

(1989) i włoskim (1992). Opowiadania Grudzińskiego ukazały się w tłumaczeniu włoskim, angielskim (1990) i francuskim (1992).

Przez wiele lat Herling był w Polsce autorem zakazanym. Po powstaniu „drugiego obiegu” poza cenzurą przedrukowane zostały niemal wszystkie utwory pisarza. Dopiero w 1988 r. Herling-Grudziński „Debiutował” oficjalnie tomem *Wieża i inne opowiadania* (wyd. „W drodze” w Poznaniu), a w rok później „Czytelnik” opublikował *Inny Świat* (później trzykrotnie wznawiany). W 1990 r. w wydawnictwie „Res Publica” ukazały się trzy tomy *Dziennika pisanego nocą*, w „Plejadzie” tom czwarty (w rok po paryskim oryginale), a w wydawnictwie „W drodze” *Opowiadania zebrane* (wyd. 2:1991). Na początku 1991 r. „Znak” wydał obszerny wybór esejów Herlinga *Godzina cieni*, a lubelski FIS debiutancki zbiór *Zywi i umarli* oraz bibliofilski tomik *Dwa opowiadania z ilustracjami Jana Lebensteina*.

20 V 1991 roku, w dniu 72 urodzin pisarza, w czasie jego pierwszej podróży do Polski po 52 latach życia na obczyźnie, senat UAM w Poznaniu nadał autorowi *Innego Świata* tytuł doktora *honoris causa*.

Ostatnio ukazało się poszerzone wydanie *Upiorów rewolucji* (wyd. FIS, 1992), piąty tom *Dziennika pisanego nocą* („Czytelnik” 1993, tylko wyd. krajowe), w Bibliotece „Więzi” tom szkiców o literaturze polskiej *Wyjścia z milczenia* (1993) a w wydawnictwie „Czytelnik” eseje o malarzach i włoskich miastach *Sześć medalionów i Srebrna Szkatułka* (1994).

Zdzisław Kudelski

Z „Dziennika pisanego nocą”

Szafuza, 21 sierpnia 1971

Jadąc z Zurichu do Szafuzy, pamiętałem oczywiście notatkę „nieśpiesznego przechodnia” *Nad wodospadem w Szafuzie*. Stempowski pisał w niej mądrze o zanikającej „czułości serca”, która kiedyś wyciskała podróżnikom potoki łez na widok wodospadu w Szafuzie, i o obecnej „rzeczowej” reakcji turystów, jako o dwóch stronach tego samego medalu: sentymentalizmu.

Nie spodziewałem się jednak, że wycieczka do Szafuzy będzie dla mnie jak gdyby chwilą zadumy nad grobem Pana Jerzego. Ze wszystkiego co po sobie zostawił, ustęp o szumie ojczystych rzek z *Dziennika podróży do Austrii i Niemiec* przywołuję w myślach najczęściej. Ten szum, zwielokrotniony do huku, zamieniony w chór rzek całego świata, towarzyszył mi wciąż w Szafuzie. Stempowski, z usposobienia nieskory do wynurzeń osobistych, pozwolił sobie przecież raz na taki passus: usłyszawszy znów szumiący głos swojej ojczystej rzeki, choćby nawet był stary już i ślepy, poczułby, że lata tułaczki opadają z niego jak łachmany. W huku wodospadu w Szafuzie słyszałem głos mojej?

Przed wyjazdem z Neapolu wyciągałem moją siostrę na opowiadania o naszych stronach. Krążyłem wokół Ciemnego Stawu, przymykając oczy widziałem z absolutną wyrazistością olchową groblę, łachy nenufarów, szuwały blisko łąki, stawidła i upust, płytką rzeczkę opływającą nasz dom, ogromne modrzewie przed domem. Cóż z tego, że większości obrazu już nie ma, że staw wysuszono i zaorano, że jakiś młody człowiek nagabnięty (gdybym wrócił) o ciemną wodę mojego dzieciństwa, odmrunknąłby wzruszając ramionami: coś się szanownemu panu przyśniło. Realność dzieciństwa nie jest tak krucha i sypka, jak realność wieku dojrzałego. Szczęśliwy, kto ją potrafi utrwalić na zawsze. Zazdroścę Miłoszowi *Doliny Issy*.

Dragonea, 8 lipca 1972

Od pierwszego wejrzenia można się także zadurzyć w rzeczach. *Casa Rossa, Czerwony Dom* położony samotnie za wsią Dragonea, zobaczyłem dwa lata temu z szosy która z Vietri-sul-Mare pnie się pod górę do San Vincenzo i do opactwa w Cava. Dzierżawił go stary chłop, przerebiwszy jedną parterową izbę na oborę, a całe pięterko na stodołę. Z zie-

mi na zboczu głębokiego wąwozu, który między domem i wsią opada stromo w dół i ciągnie się na wschód aż do autostrady Pompei-Salerno, wyciskał trochę wina i owoców dla siebie, dookoła drzew i krzaków kościł trawę dla trzech jałówek. O żadnej innej uprawie nie ma tu mowy, ziemia jest sucha jak pieprz, latem słońce praży od wczesnego świtu do zmierzchu, doprowadzanej skąpo wody nie wolno używać za progiem domu w długich okresach bezdeszczowych. Dzierżawa wygasła za kilka miesięcy, stary miał dosyć smażenia na wzgórzu odciętym od wsi. Właściciel w Cava dei Tirreni marzył o jednym, o sprzedaży.

Na wprost mojego okna (w dawnej stodole) przylepiona do przeciwnie-gługo zbocza wąwozu Dragonea: wieś mała, wyciągnięta w sznur brudno-szarych i różowych fasad, na płaskim wzniesieniu pod szczytem przywiązana węzłem dużego kościoła, z którego w każdą niedzielę rano msza spływa z hukiem przez megafony w zieloną zapaść. Tylko wtedy, w ciągu godziny, ludzkie głosy zagłuszają świerszczową wibrację powietrza. Z szosy i z autostrady słychać też czasem klaksony, ale po Neapolu ucho ledwie je chwytą i z dziwną ulgą, jakby nie umiało już czy nie chciało się wyrzec przytłumionych ech świata. Po tamtej stronie autostrady, zasłaniając widok na Salerno, wysoka i dość gęsto zalesiona góra San Liberatore z oświetlonym nocą krzyżem i (podobno) szalasem eremity. Bezruch letniego dnia jest doskonały, nie drżą nawet białe kolumny dymów z ognisk rozpalanych wśród krzewów winnej latorośli. Przed zapadnięciem nocy pojawiają się nietoperze, krążąc krótko i nisko nad ziemią chybotliwymi zakosami. Noc, mimo księżycy i gwiazd, wlewa się do wąwozu nieprzeniknioną ciemnością.

Neapol, 18 maja 1974

Po południu wybrałem się na Monte Cassino, w trzydziestą rocznicę zdobycia klasztoru. Na cmentarz przyjechałem tuż przed zmierzchem. Nie było nikogo, absolutna cisza, u wejścia leżały wieńce i kwiaty z porannego obchodu. Dogasające słońce zalewało dolinę żółto-różowym gęstym światłem. Między grobami, mechanicznie odczytując zatarte nazwiska, usiłowałem przypomnieć sobie bitwę.

Tak, wielka bitwa, wolno myśleć o niej z dumą, a przecież z wpływem lat nad wszystkim, choćby nad tym moim łażeniem między grobami, unosi się natarczywiej i natarczywiej poczucie klęski. Wiele jest powo-

dów, dla których miałbym prawo być tutaj kiedyś pochowanym. O dodatkowym dowiedziałem się niedawno od Z.: po bitwie wciągnięto mnie na listę poległych, wychodząc pewnie z założenia że ze szczytu 593 droga wiodła jedynie do grobu.

8 kwietnia 1976

Mój Drogi, nie może to być zwykły zbieg okoliczności. W dniu mojego wyjazdu z Laffitte, kiedy żegnałem się z Czapskim w jego pokoiku zastawionym obrazami, wyciągnął naraz z półki małą sfatygowaną książeczkę. Był to *List Lorda Chandosa* Hofmannsthala. „Czytam go ostatnio bardzo często” - powiedział. Dziś przysłała Twoja kartka z Krakowa, z fragmentem końcowym *Listu* i Twoją adnotacją w tym samym duchu co wyznanie Czapskiego. I dzisiaj także, przeglądając w księgarni nowości wydawnicze, znalazłem *List* z przedmową inteligentnego germanisty włoskiego Magrisa. Więc tekst Hofmannsthala, napisany u progu stulecia (1901), dość nieoczekiwanie odżywa. Wywołał sporo szumu po ukazaniu się, potem pokryła go warstwa kurzu. Jak wytłumaczyć sobie obecne odzycie? I czy rzeczywiście jest ono nieoczekiwane?

Młody arystokrata angielski, ceniony wysoko jako pisarz, zawiadamia w *Liście* wysłanym w roku 1603 do Bacona, że postanowił na zawsze odłożyć pióro i „wyrzec się całkowicie działalności literackiej”. Fragment, który przytaczasz w kartce, brzmi tak: „Nie napiszę więcej żadnej książki, ani po angielsku, ani po łacinie; gdyż język, w którym dane by mi było nie tylko pisać lecz może i myśleć, nie jest ani łaciną, ani angielskim, ani włoskim, ani hiszpańskim; jest językiem zupełnie mi nieznanym, językiem w którym nie pojmuję ani jednego słowa, językiem w którym mówią do mnie rzeczy nieme, i w którym może kiedyś przyjdzie mi w grobie odpowiedzieć nieznanemu sędziemu”. Wskażmy w skrócie przesłanki tej decyzji. Lord Chandos uprzytamnia sobie, że skurczył się zatrwającą dystans w jego spojrzeniu na ludzi i ich działania, że widzi dookolny świat tak z bliska jak gdyby obserwował raz przez szkło powiększające własny mały palec, podobny do sieci rowów i dołów na rozległej równinie. Nie jest w stanie uchwycić otoczenia dawnym, upraszczającym wzrokiem. Każda rzecz rozpada się na części, każda część na jeszcze drobniejsze, nic już nie daje się ogarnąć jako pojęciowa całość. Jedno po drugim przepływają obok słowa, zamieniają się w oczy.

Te oczy wpatrują się w niego z uporem. I wzajemnie, ale wpatrywanie się w słowa przyprawia go o zawrót głowy. Są niby odmetry, wirują bez ustanku, wchłaniają i pogrążają, a poza nimi wpada się w próżnię. Inaczej z odmetami rzeczy niemych. Również one porywają, lecz w przeciwieństwie do wirów językowych nie ciągną ku próżni. Na odwrót pozwalają w jakiejś mierze rozpoznać samego siebie i odetchnąć w najgłębszych zakamarkach uspokojonego świata. Tu następuje konkluzja, którą widocznie uważasz za swoją: pożegnanie z literaturą, próba zawarcia tajemnego przymierza z rzeczywistością bez pośrednictwa słów.

Łatwo zadrwić: ten literacki manifest milczenia, odepchnięcia medialnych funkcji języka, musiał być przecież wyrażony w słowach; nie niemożnością zawiadamiał Lord Chandos prześwietnego Bacona o swojej rezygnacji, lecz arcydziełem epistolarnej elokwencji; i z publikacją *Listu* nie wygasła twórczość Hofmannsthal.

Nie wygasła, *List* jednak w niej czymś więcej niż tylko osobistym świadectwem kryzysu poety. Stawiał literaturę w punkcie zerowym, inaugurował wiek dwudziesty pytaniem o jej rację bytu (i sztuki w ogóle, jeśli się zważy ulubioną formułkę Hofmannsthal o „nieprzyzwoitości znaków”). Magris posuwa się dalej wykreślając z punktu zerowego *Listu* linię, która prowadzi do *Rozmowy z pijanym* Kafki, gdzie rzeczy nie znajdują się już na dawnych miejscach i język już ich nie wyraża; do *Młodego Torlessa* Musila, gdzie mowa o „drugim życiu rzeczy, sekretnym i wymykającym się „ , o „ , życiu które nie wyraża się w słowach, a mimo to jest moim życiem”; dla Musila właśnie ta druga, trzecia czy czwarta rzeczywistość, ukryta za fasadą albo pod powierzchnią, paraliżuje możliwości języka. Posunąłbym się jeszcze dalej niż Magris. Ostatecznie czym był Ulisses Joyce’a jak nie wysiłkiem przystosowania języka do rozpadu rzeczy na coraz drobniejsze części? Ale tu wkraczamy w rejony, o których pisałem kiedyś w dzienniku, że ocierają się o samozniszczenie literatury; o samozniszczenie w akcie wspaniałego kosmicznego bełkotu. Wystarczy, w związku z *Listem* Hofmannsthal, podsumować: był rezygnacją podyktowaną odkryciem „jak mało, straszliwie mało, można powiedzieć w słowach!”.

W siedemdziesiąt pięć lat po ogłoszeniu *Listu* jesteśmy na biegunie przeciwnym. Nie paraliż możliwości języka, lecz ich *elephantiasis*. Słowa oblażą nas, zżerają; utwierdza się obłędne przekonanie, że „można w nich wyczerpać całą, absolutnie całą rzeczywistość”. Ze skutkiem, który wybornie sformułował Gombrowicz: „ Im mądrzej, tym głupiej”.

Odzycie tekstu Hoffmansthalą, pisarskiego ślubu milczenia, jest instynktownym odruchem przerażenia, którego należało się spodziewać. Nasz wiek jest wiekiem utraty centrum. Literatura (skoro o nią w tym wypadku chodzi) zaczęła od deklaracji ascezy językowej, aby po wielu krążeńiach i eksperymentach przerzucić się w językową rozwiązłość. Hoffmansthalowski Lord Chandos złamał pióro, gdy wydało mu się bezradne wobec widzianej zanadto z bliska rzeczywistości i ukrytej za nią zbyt głęboko tajemnicy; wybrał „roztopienie się” w świetle z pieczęcią na ustach. Tysiące współczesnych nam piór młóćą żwawo rzeczywistość, jak gdyby nie było w niej żadnej już tajemnicy. Odzyskanie centrum między rzeczywistością i tajemnicą, i przywrócenie literaturze jej wagi i godności, zależy od chęci i woli pisania na przekór wszystkiemu w języku, którego każde słowo stara się dać odpowiedź na pytania stawiane nam codziennie przez nieznanego sędziego. Powiesz, że jest na to za późno? Twój G.

1 sierpnia 1976

Ze wzruszeniem przeczytałem zbiorek pięciu esejów Jana Józefa Szczepańskiego (jednego z nielicznych w kraju pisarzy na serio) *Przed nieznanym trybunałem*, szczególnie pierwszy: *W służbie Wielkiego Armatora* i ostatni: *List do Juliana Strykowskiemu* (klasyka współczesnej prozy polskiej dzięki cudownej *Austerii*; reszta jego twórczości nie dorasta niestety do kostek *Austerii*).

To wzruszenie w znacznej mierze ma charakter osobisty. Tuż po wojnie wydałem w Rzymie tomik *Żywi i umarli*, w którym znalazł się między innymi dialog o *Tajfunie* Conrada. Dialog (jak i cały tomik) był młodzieńczo nieudolny, ale powstał z trafnej intuicji. Wyczuwałem mianowicie, że Conrad (w *Tajfunie* z szaleńczym trzymaniem się „raz obrażonego kursu”) był czymś w rodzaju poetyckiego i moralnego filozofa młodzieży akowskiej. Podobał się bardzo ten dialog Juliuszowi Poniatowskiemu (który w powstaniu warszawskim stracił jedyną córkę), poślizgniętemu dla jego niezdarności, złąknionemu za to jakiegoś głębszego sensu tego co się w Polsce podczas wojny działo i z heroicznym tragizmem dopełniło. Po latach zmienił zdanie, postanowił wrócić do kraju i pożegnał się z nami wszystkim artykułem *Krwia czy myśl*, ogłoszonym w *Kulturze*. Artykuł był dedykowany mnie, co zrozumiałem jako

delikatną aluzję do własnej, bez wątpienia uczciwie przemyślanej, zmiany „raz obranego kursu”. Posuwam się jednak za daleko, inna to już historia...

Nie było więc rzeczą przypadku, że atak z „pozycji marksistowskich” na „akowską filozofię ślepej wierności” przybrał maskę próby „zdemaskowania” Conrada. Podjął się tego ataku Jan Kott, z typową dla niego podówczas mieszaniną intelektualnej ekwilibrystyki i moralnego kretynizmu. W kategoriach „analizy marksistowskiej” Conrad był pisarskim najmitą chciwych i żarłocznych armatorów kapitalistycznych, który dorobił im tyleż solenną co obłudną filozofię służby morskiej, wcale przydatną w dorabianiu się wciąż opuchlejszej kiesy złotych suwerenów. Prawdziwy adresat szkiców Kotta był oczywisty. Zareplikowałem artykułem *Lord Jim i towarzysz Jan*, w miesięczniku *Światło* redagowanym przez Zygmunta Zarembę. Artykuł był znowu dość nieudolnie napisany, zbyt rozgorączkowany i rozbiegany. Dygnitarski wtedy towarzysz Jan, w przerwach między oficjalnymi celebracjami pierwszej powojennej wizyty w Rzymie, pokwitował moją replikę olimpijsko-ironicznym uśmiechem.

W trzydzieści lat później Szczepański, nieporównanie lepiej i dojrzalej ode mnie, rozplątuje spleśniałe węzły starego sporu. W *Liście do Juliana Strykowskiego* pisze: „Zapomniany głos Conrada odezwał się z nieoczekiwaną mocą w mrokach Polski podziemnej”. W eseju wstępnym, pamiętniczku akowskiej młodości, czytam: „I oto okazało się, że Jim był jednym z nas, w naszym własnym świecie. I dzięki niemu Joseph Conrad też stał się jednym z nas”. Albo: „Potrzebowaliśmy natychmiastowych uzasadnień dla imperatywnego, nie podlegającego dyskusji TAK TRZEBA - jedyne go objawienia, oświetlającego nasze ryzykowne drogi. Skuteczniej niż ktokolwiek inny uzasadnień takich dostarczał wielu spośród nas Joseph Conrad, sceptyk i romantyk (jak my), świadom, podobnie jak my, grozy istnienia, przeświadczony głęboko o bezprzedmiotowości wszelkich dociekań prawd ostatecznych i wobec tego widzący istotny sens życia w ocaleniu poczucia ludzkiej godności - owego jedyne go śladu najwyższej prawdy czy boskości, jaki jesteśmy w stanie rozpoznać w sobie i określić... Odkryliśmy nagle, że Conrad był aktualniejszy niż wszyscy. Jak gdyby czekał na ten czas, żeby wyznaczyć nam kurs na mapie... Był dla nas prorokiem nadziei”.

7 listopada 1976

Literatura niewyobrażalna bez podskórnego nurtu moralistycznego... Dogorywa (twierdził Gombrowicz na marginesie *Człowieka zbuntowanego*) „zawieszona w próżni rasa moralistów: wymyka im się człowiek”. Bo „nie w sumieniu jednostki kryje się sprężyna działania, lecz w tym stosunku, który wytwarza się między nią a innymi ludźmi; nie dlatego popełniamy zło, że zniweczyliśmy w sobie Boga, lecz ponieważ Bóg a nawet Szatan są nieważni, gdy sankcją czynu staje się drugi człowiek”.

Do sprawy sumienia indywidualnego wrócił później Gombrowicz w analizie *Zbrodni i kary*. Postawił Raskolnikowa na głowie, uznał go za ofiarę „sztucznego, międzyludzkiego, zwierciadlanego sumienia”, za wykonawcę „nakazu poczętego z obcowania ludzkiego”. Był to nonsens, wystarczyło przypomnieć uwagę Dostojewskiego: „Istnieją doznania i występki, nie podlegające sądom ziemskim; jedynym sądem może być własne sumienie, czyli Bóg mieszkający we mnie”. Bóg we mnie? Inni ludzie we mnie? Albo (śladami Millera) nic we mnie? Nie ma ucieczki od tych pytań. Gombrowicza przerażał „suchy kolektywizm”, chociaż nie tak znowu doń daleko od „drugiego człowieka jako sankcji mojego czynu”. Odpychała go „samoistna dusza w kosmosie”, laicka samotność Camusa. „Nieważnymi” nazywał Boga i Szatana. Wyjście znalazł w „międzyludzkim kościele”, sakralizacji wzajemnego oddziaływania „ja” i „innych”.

Ale człowiek wymyka się również z „międzyludzkiego kościoła”, aby samotnie indagować swoje sumienie indywidualne, jak samotnie staje w obliczu własnej śmierci. Jest w nim tajemniczy obszar wyłączony, który nie poddaje się żadnemu „między”. Gdyby rzeczywiście zginąć miała „rasa moralistów”, opukiwałby ten obszar białą laską ślepeca.

29 stycznia 1977

Dzisiejszy popołudniowy spacer był za długi, wśród straganów na *Tribunali* odezwało się dalekie echo bólu, ledwie dowlokłem się do Świętej Klary. Była pusta, ani żywej duszy. Obsunąłem się na ławkę koło jedyne oświetlonego ołtarza bocznego i natychmiast zapadłem w częsty teraz u mnie stan ni to płytkiej drzemki, ni halucynacji. Zaśnieżone i wyludnione miasto na tle białych gór, bardzo cicha muzyka spoza za-

mkniętych okiennic na wąskich uliczkach, oblodzone zatoki placów, gładka tafla nieba z dużą przerębłą księżycą po środku. Salzburg? Po tylu latach? Spędziłem tam Boże Narodzenie 1952, w jednym z najcięższych okresów mojego życia.

Lekkie szturchnięcie. Obok stał dzwonnik Świętej Klary, maleńki i wysuszony franciszkanin, w za szerokim habicie, z trupią główką przechyloną na ramię, uśmiechnięty smętnie i jak zawsze wylękniony. Znam go od dwudziestu lat, ilekroć zachodzę do Świętej Klary, przechwała się w lichej włoszczyźnie (jest rodem z Austrii), że „jego dzwon słychać w całym Neapolu”. Stał w milczeniu, jakby wahając się czy mi coś powiedzieć. Wreszcie przybliżył swoją trupią główkę i szepnął mi na ucho: „Mam chore serce, chcą mi odebrać mój dzwon”. Odsunął się, spojrzął na mnie z ukosa, znikł mu z twarzy uśmiech: „Umrę bez mojego dzwonu, nikt mi nie wierzy, ale ja wiem na pewno że umrę”. Miałem ochotę pocieszyć go i uścisnąć, kiedy jednak poruszyłem się gwałtownie w ławce żeby wstać, obok mnie nie było nikogo. Więc też półsennne widzenie? A przecież dźwięczy mi w uszach jego skarga: *Moriro senza la mia campana*.

28 lipca 1977

Utarło się mówić w związku z dziełem Kafki o prefiguracji Państwa-Lewiatana, o człowieku który nie działa lecz jest działany przez anonimowe i wszechmocne siły. Słusznie. Ale ja, ilekroć myślę o Kafce, powtarzam sobie w duchu jego list do Oskara Pollaka z roku 1903: „Jesteśmy opuszczeni jak zabłąkane dzieci w lesie. Kiedy stoisz przede mną i patrzysz na mnie, co wiesz o moich bólach i co ja wiem o twoich? A gdybym padł przed tobą na kolana i płakał i opowiadał, co wiedziałbyś o mnie więcej niż o piekle, które ktoś określił ci jako gorące i straszne? Już dlatego my, ludzie powinniśmy stać naprzeciw siebie tak zamyśleni i współczujący, jak przed wejściem do piekła”.

Pisząc ten list, Kafka miał dwadzieścia lat. Całkowita wzajemna nieprzejrzystość ludzi; całkowite zamknięcie jednych przed drugimi przy równoczesnej pewności że każdy z nas zamyka w sobie własne piekło; niezdolność języka do wyrażenia, czy choćby zakomunikowania indywidualnych bólów. Żadna z postaci występujących w przypowieściach i metaforach Kafki nie ma twarzy, żadna nawet nie próbuje odsłonić

swego wnętrza. W jego utworach panuje szczególna atmosfera obrzędów, których prawdziwy sens jest niezupełnie uchwytny dla samego autora. Kafka uważał swoje pisanie za „środek zbawienia” i „formę modlitwy”. Od kogo lub czego spodziewał się zbawienia? Do kogo lub czego się modlił? Jego list każe pamiętać, że nie spodziewał się zbawienia od nikogo i niczego. A modlił się do impulsu modlitwy, jakby to ona była prądródem języka ludzkiego.

30 lipca 1977

Antonello da Messina namalował trzy *Ecce Homo*. We wszystkich Chrystus płacze, chociaż tylko w jednym widać łzy na policzku, a w dwóch pozostałych Antonello poprzestał na wzbierającym szlochu, który lada chwila wybuchnie. Przerażony i umęczony wzrok, usta wykrzywione w grymasie skargi. Leonardo Scascia, świetny pisarz i rodak sycylijskiego mistrza, twierdzi że w tych trzech obrazach do głosu doszedł „obiektywizm” obserwatora. Antonello studiował ludzi rażonych nieszczęściem. I zdołał utrwalić wyraz tępego bólu, maskę fizycznego cierpienia, bez światła boskości, bez aury właściwej męce Odkupiciela, po prostu z naciskiem na okropność tortury, na okrucieństwo oprawców i szyderstwo gapiów.

W dwóch *Ecce Homo*, w Piacenzy i w Genui, rzeczywiście ukazują się Chrystus odarty z boskości, wyłącznie ludzki. Ale w trzecim, nowojorskim, pojawia się domieszka. Kto i gdzie stawiał obok siebie Hioba i Chrystusa? Pod tym obrazem Antonello mógłby być swoim kaligraficznym pismem pismem przerzucić pomost do Księgi Hioba: „Odezwę się w bólu mej duszy! ... Odwróć Twój wzrok, niech odetchnę, nim pójdę, by nigdy nie wrócić, do kraju pełnego ciemności, do ziemi czarnej jak noc...”

26 listopada 1977

Zolla, bardzo inteligentny krytyk włoski, napisał przed laty szkic *Volgarita e dolore*. Pamiętam z niego tylko świetny tytuł, ba - pamiętam to za mało, ciągle wracam do niego w myślach. W przeciwstawieniu wulgarności i bólu tkwi właściwie wszystko, co da się powiedzieć o istocie

bólu, bez pamięci, w potoku życia płynącego nie wiadomo skąd, nie wiadomo dokąd, nie wiadomo po co. Albo, jeśli kto woli „dowcipną” metaforę Hebbła: szczur pochłonięty obgryzaniem skrawka słoniny w pułapce...

26 listopada 1986

Za dwa tygodnie zostanie otwarta w Bibliotece Polskiej na Quay d'Orleans wystawa „*Kultura*” i jej krąg, z okazji czterdziestolecia Instytutu Literackiego. Wiem już o niej coś niecoś od organizatorów, Grażyny i Krzysztofa Pomianów. Czterdzieści lat! Nie wypada należącemu do „kręgu” uderzać w ton laurki, laudacji. Ale czy można się powstrzymać od zwykłej, ścisłej w każdym słowie konstatacji? W ciągu czterdziestu lat Jerzy Giedroyc stworzył dzieło naprawdę wielkie z niczym nieporównywalne, dzieło wyobraźni i inteligencji politycznej, wrażliwości kulturalnej, wytrwałości w codziennej pracy. We wstępie do pierwszego, rzymskiego numeru mowa o celach *Kultury*: „Pragnie dotrzeć do czytelników w Kraju i wzmóc w nich wiarę, że wartości, które są im bliskie, nie zawałyły się jeszcze pod obuchem nagiej siły”. Udało się jej to? Począwszy od połowy lat pięćdziesiątych *Kultura*, dotąd z trudem wciskana przez wąskie szczeliny w murze, wtargnęła do Polski na dobre. Nie będzie przesadą powiedzieć, że się w niej zadomowiła. Dużo takich wypadków w dziejach emigracji politycznych?

W tym pierwszym numerze widać wysiłek ustalenia europejskiej „woli życia”. Dwa umieszczone obok siebie teksty - urywki *Kryzysu ducha* Paula Valery z roku 1919 i *Zmierzch cywilizacji* Crocego z roku 1946 - zakreślają ramy: pesymizm poety francuskiego zrównoważony przez „bezużyteczność pesymizmu” filozofa włoskiego. I choć po czterdziestu latach nie mało, a nawet coraz więcej powodów do zwątpienia o europejskiej „woli życia”, pamiętam jakby to było wczoraj (i na nowo przeżywam dzisiaj) wzruszenie, z jakim czytałem fragment tekstu Crocego: „Maximus, biskup Turynu, podnosił spokojnie na duchu obywateli Mediolanu, którym Atylla zniszczył domostwa i spalił kościoły, wzywając ich, aby pojęli, że Bóg oddał w ręce nieprzyjaciół *non civitatem quae in vobis est, sed habitacula civitatis, non ecclesiam suam, quae vera est ecclesia, sed receptacula ecclesiae*; ale że lud Mediolanu wraz ze swym biskupem, mimo, że w lęku i smutku, *tamen in libertate perdu-*

rabat. Ów dom, ów kościół idealny, który jedynie jest rzeczywisty, człowiek posiada zawsze, i w nim wyłącznie żyje godność ludzka. Czegóż więcej żądać można od człowieka?"

Czegóż więcej żądać można od człowieka? Valery zapewniał obok, że „nadzieja jest nieufnością człowieka wobec przewidywań jego umysłu”. Błogosławiona nieufność! Pozwala żyć, pracować i walczyć, pozwala na przekór zwątpieniom i przewidywaniom umysłu *tamen in libertate perdurare*.

* * *

Lublin, miasto, którego nie znałem, miał dla mnie smak natychmiastowego zadomowienia. Byłem nim zachwycony...

Lublin jest chyba po utracie Wilna ostatnim miastem dawnej Rzeczypospolitej, miastem Unii przecież, z zachowanymi przynajmniej w tradycji i w zabytkach wątkami wielonarodowymi i wielowyznaniowymi. Monografia Anny Różyckiej *Bizantyjsko-ruskie malowidła w Kaplicy Zamku Lubelskiego* odwołuje się do pierwszej pełnej monografii Michała Walickiego, który „za główny punkt odniesienia w zakresie ikonografii uznał szkołę serbską XVI wieku, wiele też rysów przypisując Zachodowi”. Miał rację. Oglądając cudowną Kaplicę Świętej Trójcy (w trakcie odnawiania), bez przerwy myślałem o freskach Giotta w Asyżu, a zwłaszcza o jego *Cappella degli Scrovegni* w Padwie. Zresztą Wzgórze Zamkowe jest przepiękne. A inne wątki? Mała cerkiew wśród kościołów (mówiono mi, że kiedyś sąsiadowały ze sobą cerkiew, kościół i synagoga), resztki żydowskiego *Jesziwotu* z roku 1506, resztki (podobno) starego Majdanu tatarskiego. Wszystko to trwa zgodnie obok siebie, nie podmywane gwałtownymi przyływami nacjonalistycznych amoków. Prawie nie do wiary.

Nie lubię na ogół pomników, a już szczególnie takich, które ogrom tragedii próbują ująć w kamienne ryzy retoryki. Nie podobał mi się, na przykład pomnik, Bohaterów Getta w Warszawie. Ale Majdanek! Ten długi chropowaty, porowaty, bezkształtny głaz u wejścia obok bramy z szarpanego żeliwa, z rozległym, pustym i jałowym polem poobozowym w tle, aż do odległego muzeum na horyzoncie. Całość, obejmującą do głębi całość, zaprojektował ktoś (nie mogłem się niestety dowiedzieć kto), rozumiejący dobrze, jakie wolno stawiać pomniki Zagłady.

Podróż do Polski, 8-31.05.1991

SPO
TKA
NIE

13 MAJA 1994

PIĄTEK

TEATR

IM. JULIUSZA

OSTERWY

W LUBLINIE

NARUTOWICZA17

GODZINA 16.30